

MORALNY NIEPOKÓJ ŻYWYCH TRUPÓW



Motto:

**„Więcej państw zginęło z przyczyny pogwałcenia obyczajów jak z powodu pogwałcenia praw” Monteskiusz
„Uwagi nad przyczynami wielkości i upadku Rzymu”.**

To, co się odbyło w Warszawie 4 czerwca, wywołało u mnie, nie tylko filmowca, ale i kinomaniaka, iście filmowe skojarzenia. O ile marsz żywych trupów (politycznych) w tytule, czyli „Dead Men Walking” nie wymaga raczej tłumaczenia, to już aluzja do tzw. „kina moralnego niepokoju” może zaskakiwać, ale narzuciła mi się ona głównie z powodu błyskotliwej kreacji Andrzeja Seweryna, który najwyraźniej pozazdrościł włoskim artystom z też niegdyś bardzo znanego przeboju kinowego „Odrażający, brudni, źli” ...

Skojarzenie nie tak już absurdalne, bo to właśnie Seweryn nadał ton temu marszowi, w którym udział wzięli także dwaj inni jego koledzy ze sztandarowego filmu „kina moralnego niepokoju”, czyli Daniel Olbrychski i Janusz Gajos. To czołowe dramatis personae dzieła z 1976 r. o mylącym tytule „Kung-fu” Janusza Kijowskiego, który sam też ukuł dla tego nurtu w polskiej kinematografii owo pompatyczne określenie. Do reżyserów doń przypisywanych należeli młody Krzysztof Kieślowski, Tomasz Żygadło, Janusz Zaorski, a także Agnieszka Holland oraz ich mentor Andrzej Wajda i raczej bezpodstawnie Krzysztof Zanussi jako autor znakomitych „Barw ochronnych”, także poruszających tematykę wyborów moralnych, tyle że w odróżnieniu od „młodych zdolnych” na niedostępnym im wysokim poziomie artystycznym i intelektualnym. Wajda, który wspierał młodych we własnym Zespole X, sam niby włączył się w nurt filmem „Bez znieczulenia” z 1978, do którego scenariusz napisała Holland ponoć opierając się na biografii swojego ojca, komunisty zaszczonego przez niewdzięcznych towarzyszy, jak w filmie znany reporter przez młodego partyjnego dziennikarza, którego grał Seweryn. Jak twierdzi w pochlebnym tonie napisany artykuł w Wikipedii:

„Kino moralnego niepokoju składało się z filmów obyczajowych, w których krytyce podlegały stopniowa dezintegracja społeczeństwa, dorobkiewiczostwo, konformizm i upadek więzi międzyludzkich. Filmy należące do nurtu były nagradzane na międzynarodowych festiwalach filmowych; nadawały też impet przemianom politycznym w Polsce, które doprowadziły do wydarzeń sierpniowych 1980 r. i Solidarności.”

Choć jako młody kinoman o wychowaniu domowym skrajnie antykomunistycznym byłem świadkiem ówczesnych wydarzeń, to jako żywo nie bardzo pojmuję, jak tych paręnaście filmów mających z reguły nędzną oglądalność, miało nadawać przemianom politycznym w Polsce taki impet, że widać naoglądawszy się ich gdańscy stoczniojcy zaniepokojeni moralnie postanowili zastrajkować i stworzyć NSZZ Solidarność...

W rzeczywistości to krytyka wykreowała wagę tego zjawiska, podkreślając w łatwo czytelnym aluzjach opozycyjność a nawet męczeństwo autorów, najczęściej sprowadzające się do cięć cenzury lub odłożenia filmu na półkę. Takim „półkownikiem” był debiut Kijowskiego „Indeks”. Świadom tego, że filmy kolegów nie cieszyły się szczególnym powodzeniem kinowej publiczności, postanowił na swój drugi-pierwszy film przyciągnąć widzów nie mającym nic wspólnego z treścią dzieła efektownym tytułem, bo wprawdzie na „Wejście smoka” musieliśmy jeszcze poczekać do 1982, to egzotyczne i tajemnicze kung-fu już się robiło modne. W istocie zaś jak większość filmów nurtu - „Aktorzy prowincjonalni” Holland, opowieść Kijowskiego przedstawiała peerelowską prowincję zdominowaną przez zdegenerowane układy, którym usiłuje się przeciwstawić trójka przyjaciół grana przez Fronczewskiego, Seweryna i Olbrychskiego.



Po co w ogóle piszę o tym kompletnie i słusznie zapomnianym zjawisku? Bo tak się jakoś dziwnie składa, że poza jednostkowymi zaledwie wyjątkami, jak wspomniany Piotr Fronczewski, cała ta... hm, plejada artystów od lat gremialnie występuje po stronie twardej, samą siebie nazywającej totalną, opozycji. Agnieszka Holland robi coraz paskudniejsze, jawnie antypolskie filmy, Kijowski publicznie solidaryzuje się ze swym siostrzeńcem, niefortunnym liderem kodomitów, gwiazdy kultowych filmów „Ziemia obiecana” czy „Danton”, twórcy wielu wspaniałych kreacji wolą być zapamiętani jako błazny wykrzywiający się w parodiowaniu osób upośledzonych na rzecz kampanii wyborczej PO, maszerują pod batutą Tuska ramię w ramię z agentem „Bolkiem”, a „prywatnie” rzygają nienawiścią do współziomków, a w istocie – do Polski.

I nie jest to zjawisko nowe, bo lata temu dał im przykład nieżyjący już Andrzej Wajda. Najcięższą dla twórcy karą za grzechy jest pozbawienie go otrzymanego w darze od Boga talentu, który dał mu sławę i miłość wielbicieli. Dzisiejsze bezwstydne żerowanie aktorów na swoich kultowych kreacjach w celach strictly politycznych jest niczym w porównaniu z tragicznym upadkiem ich Mistrza, pod koniec życia mordującego swój własny talent z jakąś iście piekielną zajadłością. Mimo wszystko może jednak dziwić odrażająca strictly polityczna działalność Wajdy w ostatnich latach jego życia, wyrażająca się nie tylko podłym protestem przeciw wawelskiemu pochówkowi Prezydenta Lecha Kaczyńskiego, ale i ... nie mam słów, by to określić – wyzwaniu właśnie w kontekście tragedii smoleńskiej do zapalania zniczy na grobach sowieckich „wyzwolicielei” z Armii Czerwonej! Autor mocno fałszywego filmu „Katyń” z 2007 r. odmówił rok później przyjęcia Medalu Dnia Pamięci Ofiar Zbrodni Katyńskiej od Polskiej Fundacji Katyńskiej, za to w grudniu 2010 r., w kilka miesięcy po Smoleńsku,

ochoczo przyjął rosyjskie odznaczenie „Order Przyjaźni” z rąk Miedwiediewa, kompana Putina, w wyniku sprytnej rozszady pełniącego wówczas funkcję Prezydenta Federacji Rosyjskiej!

Kulminacją tej niepojętej na zdrowy rozum zajadłości, którą pozwolę sobie wprost nazwać antypolską, była pełna fałszów historycznych nędzna filmowo ekranowa hagiografia Lecha Wałęsy, zrealizowana wtedy, gdy już nikt nie mógł mieć najmniejszych wątpliwości, że nie tylko był on donosicielem w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, ale że i później będąc na smyczy esbeków jako lider „Solidarności” i prezydent RP działał w istocie na szkodę RP w interesie Sowieców a potem Rosji.

Pogrobowcy Wajdy, wykreowani przezeń komedianci, dziś nadymają się wielkością odtwarzanych niegdyś postaci, a ja wspominam, że dano im grać prawdziwych bohaterów – Piłsudskiego (Olbrychski), Generała „Nila” (Łukaszewicz), Prymasa Wyszyńskiego (Seweryn) – to ostatnie budzi dziś szczególne obrzydzenie. Jak długo ten osobnik będzie jeszcze dyrektorem teatru noszącego dumne miano „Polski”? Do dymisji się nie poda, jeśli nie można go usunąć, to trzeba będzie ten teatr przemianować na „Kacapski”. I parę innych też.



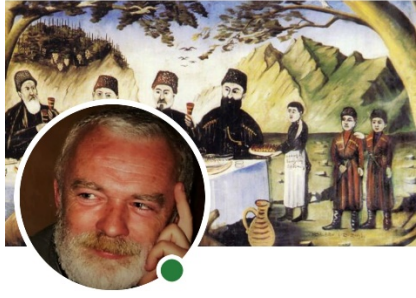
Znany z isticie promiennego dowcipu wielki polski pisarz Kornel Makuszyński w nigdy w PRL niewznawianej powieści „*Słońce w herbie*” bez krzty humoru pisał z gorzką troską:

„Kto zostanie? Wyrzebił się już wielki las, a to co rośnie, to się ledwo korzonkami trzyma ziemi i byle wiatr to powyrywa i rzuci precz. Dębów nie ma, ot co jest. Strasznie jest smutno. Karykatury ludzkie się rodzą, a nie ludzie, ochłapy dusz, a nie dusze; ledwie taka roślinka wyjrzała na świat, a już więdnie, choć nie z własnej winy, bo bez życia już na niego przyszła, w zaduchu, w trwodze, w lęku, w złej, zepsutej atmosferze. A najstraszniejsze jest to, że się rodzą ludzie bez ojczyzny...”

Bo dla tych plujących jadłem na nasz kraj żywych trupów Polska najwyraźniej nie jest ojczyzną. Ze słynnego serialu wiemy, że pochod zombiaków został jednak zatrzymany, choć kosztem wielu ofiar, więc odrobina optymizmu nie zawadzi. Trzeba, wszakże pamiętać, że jeśli nie zmobilizujemy wszystkich sił, by ich pokonać teraz, to te „ochłapy dusz” zdążą zainfekować nienawiścią swoje i nie swoje wnuki.

Ja zaś chcę wierzyć, że, jak mówi pewne powiedzonko, na końcu wszystko będzie dobrze, a jeśli nie będzie dobrze, to znaczy, że to jeszcze nie jest koniec.

Autor:



Jerzy Lubach